Nr. 1 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 stycznia 1932 | Rok 54

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., ½ str. 100 zł ¼ str. 50 zł., ⅛ str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2 Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tei, Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czas ochronny zwierzyny, ustalony (Art. 48, 49) Rozp. Prezydenta Rzeczypospol. z dnia 3/XII 1927 o prawie łow. Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934, roszerzony dla niektórych zwierząt łow. Rozp. Ministr. Rol. z dnia 20/X 1931, Dz. Ustaw z dnia 31/X 1931, Nr. 96, poz. 737, **obowiązującem od dnia ogłoszenia do 31 lipca 1934 r.** uwzględniony w kalendarzyku łowieckim, jak poniżej.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		■	■
Sarny - kozły	■	■	■	■	▌15						■	■
Zające - szaraki	▌15	■	■	■	■	■	■	■	■	▌20		
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy*	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌15					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

* Dla kuropatw w województwach: wileńskiem, nowogródzkiem, białostockiem, poleskiem, wołyńskiem, krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem okres od 1 listopada do 31 sierpnia.

W województwach zaś pozostałych okres od 1 grudnia do 31 sierpnia.

Z dniem wejścia w życie niniejszego rozporządzenia tracą moc obowiązującą wszelkie przepisy wydane w przedmiocie rozporządzeniem tem unormowanym.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków wierzyny łownej.

2

WYSPRZEDAŻ GWIAZDKOWA

Biuro M. T. Ł. podaje niniejszem do wiadomości, że część własnych i komisowych wydawnictw może z okazji Gwiazdki, oddać po cenach zniżonych, jak następuje:

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk zł 1·— (zamiast 6·—)
Lisowice III. tom . . . . „ 1·— „ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku. „ 1·— „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . „ 1·— „ 3·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. po „ 10·— „ 20·—

Sztolcman Jan: Żubr . . . . zł 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910 . . . . . „ —·30
Ustawa Łowiecka R. P. P. z r. 1927 . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: „Słonka" . . . . „ 2·50

z doliczeniem opakowania i porta

TREŚĆ NUMERU 1:

Nr. 1 We Lwowie, 1 stycznia 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Wzywamy Członków M. T. Ł.
do uiszczenia
zaległych i bieżących wkładek!

Blankiet P. K. O. 145.839 załączamy w tym celu do niniejszego numeru.

Przy zaczynającym się Roku Nowym, 54-tym naszego istnienia, zasyłamy naszym Członkom, Prenumeratorom i Współpracownikom najserdeczniejsze „Szczęść Boże"!

W tych niezmiernie ciężkich, dzisiejszych warunkach naszej pracy, prosimy Ich usilnie o pomoc i współdziałanie z nami.

REDAKCJA

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

V.

Lew afrykański

(Ciąg dalszy)

Lew — to nietylko jeden z najpiękniejszych dziś żyjących kotów, ale także pod względem siły najpotężniejszy pośród drapieżców. Znany jest powszechnie — znany lepiej, aniżeli jakiekolwiek inne zwierzę egzotyczne. Nie ma zakątka ziemi poza jego ojczyzną, gdzieby wieść o nim nie dotarła. Jest nietylko znany, ale ogólnie podziwiany. Stał się poprostu sławnym.

A sława ta datuje się nie od dzisiaj. Z legendarnych podań — przeszedł do historji. Literaturę zapłodnił niewyczerpanym tematem swej królewskiej postaci, zaś sztuce dostarczył godnego podziwu modelu, z którego

pełną dłonią korzystali mistrzowie pendzla i dłuta. — Urósł z biegiem czasu do symbolu: majestatu, siły i odwagi.

Dzięki tym — słusznie lub niesłusznie przypisywanym mu przymiotom, zdobył miano — króla zwierząt.

Lew, król zwierząt!.. majestat, odwaga!..

Tak orzekliśmy my, którzy w jego ojczyźnie nie żyjemy. Zapytajmy jednak tubylca tej części Afryki, gdzie lew jest zwierzęciem pospolitem, to dowiemy się rzeczy wprost przeciwnych. Tam nie ma dlań ani podziwu, ani uwielbienia. Niebezpieczeństwo jego sąsiedztwa, ciężar danin ofiarnych, jakie mu tam składa czarny człowiek, wzbudzać w nim muszą uczucie — jeśli nie nienawiści — to wielkiej grozy i ciągłego niepokoju.

I nie może być inaczej, gdy życie tych ludzi i ich dobytek, ustawicznie są zagrożone. Tam jest on w pierwszym rzędzie drapieżcą — o cechach, które charakteryzują wszystkie koty — drapieżcą skrytym i przebiegłym, często tchórzliwie podstępnym, którego podłe czyny nie dadzą się pogodzić z pojęciem majestatu i odwagi. — Tam — siejąc grozę — musi się raczej przedstawić jako krwawy tyran, co mordując z ukrycia, sam drży o swoje życie.

Takim też przedstawi się zdecydowanemu łowcy, który go poszukuje, aby się z nim zmierzyć.

Lew afrykański — w przeciwieństwie do swego azjatyckiego pobratymca, który jest już na wymarciu — ma jeszcze zapewnioną w swej ojczyźnie egzystencję na dłuższy okres czasu. Odnosi się to oczywiście do tych obszarów Czarnego lądu, dokąd nie wtargnęła jeszcze cywilizacja europejska z całą bezwzględnością regulatora stosunków ludzkich i zwierzęcych jak np. na północy i południu, bo tam wytępiono go doszczętnie.

W dobie obecnej pas międzyzwrotnikowy Afryki uważać należy jako obszar jego geograficznego rozmieszczenia. Był on jeszcze w początkach zeszłego stulecia o wiele obszerniejszy, bo z wyjątkiem dolnego Egiptu — sięgał od morza Śródziemnego po przylądek Dobrej Nadziei.

Do szybkiego kurczenia się odwiecznej dziedziny lwa przyczyniła się w ostatnich czasach silna ekspanzja kolonizacyjna państw europejskich, wdzierająca się w głąb czarnego kontynentu wszystkiemi porami, o ile stosunki klimatyczne na to pozwalały. Część środkowa, jako najbardziej gorąca i niezdrowa, pozostała nietknięta tą inwazją, i — jeśli istnieje tam po dziś dzień dużo zwierzyny łownej, to zawdzięczyć należy — nie przezorności i zapobiegliwości człowieka, ale klimatowi. — Klimat uchronił od zagłady najwspanialszą zwierzynę — jak słonia, nosorożca, żyrafę, bawoła oraz liczne rodzaje antylop, a tem samem i lwa i inne drapieżce, i — o ile wierzyć ostatnim sprawozdaniom z wypraw łowieckich do środkowej Afryki — stan tej zwierzyny jest wszędzie zadowalający.

Jest to zresztą bardzo prawdopodobne. Pas środkowy tego kontynentu obejmuje tyle jeszcze obszarów niezaludnionych, i mimo licznych dróg dojazdowych — trudno dostępnych, a do tego malarycznych, lub dotkniętych chorobą śpiączki, że biały człowiek zdala je omija, a czarny rzadko tam zagląda. A są to najbogatsze w zwierzynę tereny. Są to — jakby umyślnie ręką Stwórcy zakreślone rezerwaty, w których przyroda utrzymała się dotychczas w całej swej krasie lub grozie prawiecznego istnienia, dając wszelkim żyjącym istotom możność rozwoju i rozmnoży — wedle praw przyrodzonych.

W takich okolicach i lew rozmnaża się swobodnie. — Tam, nie mając nieprzyjaciela — ani w człowieku, bo nikt nań nie poluje, ani w żadnem zwierzęciu — a żeru w obfitości, powinien wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozmnożyć się niepomiernie. Powinien urość do takiej liczby osobników swego rodu, że te zdołałyby wytępić wszystkie zwierzęta, służące im za zwyczajną karmę, aby w końcu zginąć samym z głodu, gdy zabrakło żeru.

Na szczęście nie dzieje się nic podobnego. Ustosunkowanie się liczebne jednych zwierząt do drugich, przedziwna równowaga, mająca na względzie utrzymanie gatunków, utrzymuje się tak długo, jak długo tylko człowiek równowagi tej nie zakłóci.

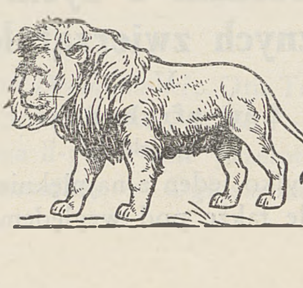
Zrozumiałem jest, że lew, żywiąc się głównie mięsem zwierząt roślinożerczych — przedewszystkiem przeżuwaczy — staje się regulatorem niewspółmiernej rozmnoży tych czworonogów, ale co reguluje rozmnożę lwa — jest dla nas zagadką. Zaskoczony nią — staje niepewny przyrodnik i myśliwy.

Jeżeli jeden i drugi zdołali wreszcie stwierdzić, że lew nawet wśród najkorzystniejszych dlań warunków, nigdy i nigdzie nie rozmnażał się ponad miarę — to nie poszedł ani kroku dalej, aby tę zagadkę rozwiązać.

Jakież więc tajemnicze prawo przyrody wkracza tutaj, aby zakreślić granicę rozmnoży tego drapieżcy? Jakiemi środkami posługuje się ona, aby równowaga konieczna do zachowania obydwu tych rodzajów zwierząt została utrzymana?

Drapieżce na ogół w stosunku do czworonogów roślinożernych — stanowią znikomą mniejszość. Lwy nie są tu także wyjątkiem. Sądzę, że nie pomylę się wiele, jeśli stosunek tych ostatnich do przeżuwaczy, dostarczających im zwykłego żeru — określę na 1%.

Cyfra ta wydać się może zbyt niską — jeden lew na sto bawołów, względnie antylop i t. p. Po głębszem jednak zastanowieniu się dojdziemy do przekonania, że taka cyfra jest dostateczna, aby tenże (przy pomocy innych drapieżców, dzielących się jego łupem więcej jak po bratersku), wybrał z takiej setki w ciągu roku, prawie cały naturalny przyrost roczny. (C. d. n.)



JAN DROHOJOWSKI

Otis Tarda

(Dokończenie)

Czasem to tak się coś stanie, że ani rusz człowiek trafić nie może. Kilka lat temu w Pieniakach, siedem słonek najłatwiejszych w świecie pod rząd chybiłem i dałem spokój temu zajęciu; dopiero na drugi dzień jakoś się odmieniło i cztery słonki zadusiłem. Raz znów nie mogłem trafić dubelta, dziesięć z rzędu chybiłem, prawda że było to po bardzo starym miodzie. Ale takie sztuki to tylko ze śrutem się mijają; kula jakoś do tej pory, jeszcze mnie nie zawiodła.

Drop, zdaje się, że leci dość wolno a tymczasem leci conajmniej tak szybko, jak goniona kuropatwa. Strzał jeszcze utrudnia to, że każde stado leci z inną chyżością, zależy to z jakiej odległości lecą. Jak lecą z odległości kilometra, to są tak rozpędzone, że jaki sążeń przed niemi zakładać trzeba.

Na ziemiach Polski miałem z dropiami dotychczas trzy spotkania, z tego dwa u siebie w Cieszacinie. Spotkania te pozwolę sobie dokładniej opisać.

Pierwsze spotkanie miałem z dropiem w Cieszacinie niedaleko dworu, na łanie zwanym Cegielnia, w dniu 11 stycznia 1911 r. Był to przezemnie pierwszy w życiu widziany drop; podjechałem go saniami na jakieś sto kroków, w ręku miałem mój ulubiony podwójny expres kal. 360, którego celność była wprost fantastyczna. To też zeskakując z sani, niewątpiłem, że dropia dostanę, lecz stało się inaczej. Drop pasł się na rzepaku, na szczycie dość wysokiego pagórka, który stromo opadał ku wsi, odległej o jakieś 500 kroków i położonej w dole; gdy położyłem muszkę na ptaku, miałem równocześnie dropia i drzwi chałupy, które się w tej chwili otwarły i ukazała się w nich baba z cebrzykiem. Z naprawdę ciężkiem sercem opuściłem sztuciec, drop porwał się z miejsca, jak kuropatwa a ja myślałem, że będzie daleko biegł i machał skrzydłami, nim się zerwie a ja będę mógł strzelić wygodnie. Był to główny powód, że nie strzeliłem, mając dropia i babę na muszce, inaczej, kto wie, czy byłbym baby nie zaryzykował. — Bajkę o długim biegu dropia przed zerwaniem się, słyszałem z ust najpoważniejszych myśliwych. Na dropie polowałem dość dużo i mam ich 15 na rozkładzie, ale ani razu nie widziałem, żeby dropie miały jakieś trudności w zrywaniu się.

Drop zrywa się jak przepiórka z najzupełniejszą swobodą, co również zaznaczył i A. Mniszek w swych wspomnieniach z polowań ukraińskich i nie wiem, skąd wymyślono bajeczkę o jego słabej lotności.

Ptak odleciał jakieś 400 kroków i zapadł obok dużego stada sarn, sto kilkadziesiąt sztuk, które się pasły na rzepaku. Dopiero mogłem ocenić jego ogrom, nie był od nich niższy; był to wspaniały kogut z faworytami. Sarny bardzo się przestraszyły nieznanego gościa; z początku obchodziły go nieufnie dookoła a po jakiejś naradzie, kopnęły się co tchu do lasu. Drop spłoszył się i tym razem już na dobre odleciał. Więcej pomimo starannych poszukiwań, nie widziałem go. Drop ten był bardzo duży i dropie tej wielkości strzelałem później w latach 1916 i 1917 na stepach Połtawszczyzny.

W roku 1923, byłem na podjeździe rogaczy u P. pułkownika Chłapowskiego w jego ślicznym Mościjewie, było to w pierwszych dniach lipca, koło 7-mej godziny rano; wracaliśmy z podjazdu, obok dużego łanu kartofli. Wtem o trzydzieści kroków od drogi porwały się dwa ptaki wielkości dużych gęsi, tak że wpierwszej chwili nie poznałem co to było, dopiero lepiej się przypatrzywszy, poznałem dropie i dziwiłem się, że są tak małe. Spłoszone zapadły o kilkaset kroków dalej w łanie maku. Na moją prośbę podjechaliśmy je na jakieś 120 kroków i przez lornetkę długo je obserwowałem, bo miałem wrażenie, że to jest całkiem inny gatunek dropia niż ukraiński.

W tym roku dnia 9 czerwca około 5 po południu, jechałem sobie wózkiem na przegląd rogaczy, bo spodziewałem się bardzo miłego gościa na dzień otwarcia sezonu. Jechałem pomiędzy dużą łąką a łanem buraków i zapatrzyłem się, czy buraki równo przerwane, gdy czynności gospodarcze przerwał mi głos mego strzelca „o to gęś" — rzuciłem okiem na prawo i w wysokich trawach ze zdumieniem zobaczyłem dropia, który najspokojniej spacerował w odległości jakichś 80 kroków. Był dziwnie mały, ale upierzenie miał normalne.

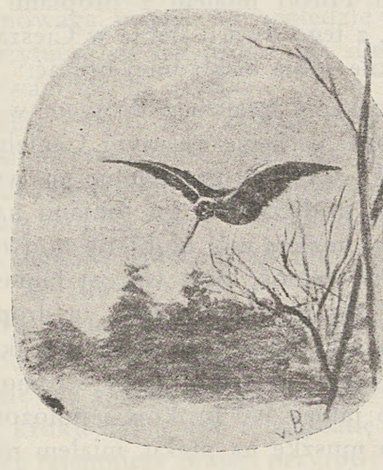
Jak się chce coś zrobić za dobrze, to zawsze z tego wypadnie wielkie głupstwo; nie strzelam nigdy z oparcia, ale mając taką rzadkość przed sobą, nie zaufałem swojej ręce, tylko postanowiłem oprzeć się o siedzenie wózka. Przygotowania do strzału trwały wieki. Trzeba było zacząć od nabijania sztućca, następnie zeskoczyłem z wózka i zatrzymawszy konie oparłem się o siedzenie; poczciwy drop wszystko wytrzymał. Nareszcie położyłem muszkę na jaskrawem skrzydle pięknego ptaka i w chwili ściągnięcia cyngla, zrobiła się katastrofa: kobyła machnęła energiczniej ogonem na jakąś bardziej dokuczliwą muchę i wózek drgnął. Muszka zatańczyła na ptaku i z jaskrawego skrzydła, zeskoczyła na niebieskawo-białe podbrzusze — i wypaliłem. Na szczęście strzelałem z Savage'a a jest to broń, z której nie koniecznie trzeba trafić, żeby zabić. Drop po strzale zerwał się ciężko z trudnością, wypuszczając całą zawartość żołądka, co u dropi jest regułą i zaczął mozolnie windować się w powietrze. Kiedy był na jakieś 10 m w górze, zwisła mu jedna noga a następnie i druga; biedne ptaszysko zaczęło zabawnie przebierać nogami w powietrzu, co do złudzenia przypominało jazdę na rowerze, a we mnie coraz bardziej wstępowała nadzieja, że przecież go zaczepiło. Tymczasem drop leciał i leciał i jakoś nie spadał. Jedną nogę podciągnął ale druga wciąż zwisała bezwładnie. Nareszcie, w odległości około pół kilometra, zapadł już na terenie ordynacji Zarzeckiej. Natychmiast posłałem do hr. D. z zawiadomieniem. Polowano na postrzałka ale bez skutku. Drop zczezł, ale, że co ma

wisieć, nie utonie, więc tego dropia widocznie św. Hubert dla mnie przeznaczył, bo 16 czerwca rano z wielkim krzykiem przybiegł mój strzelec, że „potwora" jest na burakach. W trzy minuty byłem gotów i już kłusowałem ku siedzibie „potwory". I jak się pokazało, postrzelone ptaszysko powróciło prawie dokładnie w to miejsce, gdzie go tydzień temu tak niefortunnie strzelałem; polowy idąc z ludźmi do obróbki buraków, wlazł na dropia, który z odległości 10 kroków się porwał i zapadł niedaleko w łanie owsa. Na szczęście miałem ze sobą dryling, to też nie tracąc czasu, ruszyłem ku „potworze" i ona zerwała mi się prawie z pod nóg. Spadł jak łachman, a gdy przyszedłem do mej zdobyczy, znowu jak niegdyś nad Dnieprem, zobaczyłem wpatrzone we mnie, jakby z zarzutem, ogromne oczy tego ślicznego ptaka.

Jak przy dokładnych oględzinach się okazało, kula z Savage,a zupełnie dropia nie raniła, dotknęła go tylko (w tem miejscu wystąpiło silne przekrwienie skóry) powodując ciężką kontuzję; lewą nogę miał zupełnie skrwawioną i bezwładną; noga ta wyglądała jakby była pokręcona przez reumatyzm a i druga noga była też osłabiona, bo drop nie mógł zupełnie stać, na co wskazywała wielka plama błota na piersi, od ciągłego leżenia pochodząca. Biedny ptak prawdopodobnie nie żerował przez te kilka dni, bo był straszliwie chudy. Pomimo tak strasznego kalectwa, zrywał się zupełnie swobodnie, choć miał do dyspozycji tylko jedną nogę i to znacznie przez kontuzję osłabioną.

Z tych trzech spotkań z dropiami w Polsce nabrałem przekonania, że mamy, nie powiem dwa gatunki, ale prawie na pewno dwie odmiany dropi. Typ wschodni ukraiński i typ zachodni z Poznańskiego, w upierzeniu zdaje się wielkich różnic nie ma (choć mam wrażenie, że dropie zachodnie są ciemniejsze) ale w wielkości jest różnica olbrzymia. Stare koguty ukraińskie ważą od 15 do 18 kg, kury od 9 do 11 kg, młode jeszcze nie zupełnie wyrośnięte od 7 do 8 kg. Dropie, które widziałem w Mościjewie, były wielkości bardzo dużych gęsi a drop zabity w Cieszacinie (stara kura) ważył 4 kg. Prawda, że był bardzo chudy, przypuśćmy, że stracił 2 kg wagi, to i tak niemiałby wagi nawet młodego dropia z Ukrainy. Dropie widziane przezemnie w Poznańskiem i drop w tym roku zabity w Cieszacinie, zupełnie nie robiły wrażenia ogromu, jakie zawsze robi drop ukraiński.

Do Cieszacina zalatują obie odmiany. Drop widziany przezemnie w 1911 r. był ogromny a zabity w tym roku zupełnie mały, tak, że strzelając myślałem, że mam jakieś zupełnie nieznany gatunek dropia przed sobą. — Bardzo byłbym wdzięczny kolegom myśliwym za wyjaśnienie w tej bardzo ciekawej sprawie.



ALBERT MNISZEK

ODJAZD

Pędzi rumak stalowy, z łoskotem przewierca
góry ciemnym tunelem, przez mosty wiszące
mknie! Sto metrów podemną Prutu nurty skrzące
mignęły płynnem srebrem wśród pastwisk kobierca.

Linja wytwarza zakręt — widzę góry lśniące
w zachodu blaskach złotych — Czarnohora płonie,
nad Howerlą w błękitach obłoki płynące
o jej słup koralowe rozbijają skronie.

Prucie! Obu nam śpieszno porzucić te cudy!
Niezadługo już nasze rozejdą się drogi:
Moja w wir bojów jutra, twoje nurty w progi

mórz dążą, by tam skonać w bezimiennej fali!
Jak ze szczytu głaz, lecim z tej krainy złudy,
co skrzydłem orła strącon, w mroczny jar się wali.

Z cyklu: Sonety karpackie
listopad 1931 r.

JAROSŁAW HUBÁLEK

Pustelnik z pod Sokolej Skały

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Dokończenie)

VIII.

I stał się młody pustelnik podwójnie ostrożnym. Wychodził w noce zupełnie ciemne, wracał bardzo wcześnie i wolał przepościć parę dni, niż wyjść na światło. Co prawda — ten tryb życia nie był zbyt uciążliwy. — Pożywienia było wszędzie w bród, sadła pod skórą jeszcze więcej, dalekie wycieczki zatem były zbyteczne i męczące. Nie czekając śniegu, oczyścił mieszkanie i nasłał obficie świeżych liści. Teraz wychodził jeszcze rzadziej, na godzinkę, lub dwie — ot, poprostu dla zdrowia i świeżej wody. Stał się dziwnie czułym na pogodę. Dął silny wiatr, lub deszcz padał, wytknął pustelnik nos z nory, mruknął gderliwie i szedł na posłanie. — Tu fuknął parę razy i już spał.

A na dworze długo broniła się jesień, nim oddała berło władzy zimie. — I którejś nocy, gdy borsuk wytknął nos z nory, chcąc się przejść trochę, ujrzał wszystko wkoło pokryte białym całunem. Tego samego dnia, kiedy usnęła natura pod śniegiem, usnął i pustelnik w swej Sokolej skale na długie, zimowe miesiące. Budził się niekiedy po to tylko, aby się przeciągnąć, ziewnąć leniwie i skręcić się w kłębek w odwrotnym kierunku.

Słonki ciągnęły, śpiewały hymny wiosenne kosy i drozdy, gdy głód dokuczliwy wypędził pustelnika z nory. Ani śladu niedawnego tłuściocha! Sadło znikło z pod skóry, brzuszka niema wcale, kożuch brudny wisi w fałdach, jak ze starszego brata — a przytem to ciągłe pragnienie, gorsze od głodu!

Nie namyślał się też długo i ruszył najbliższej nocy w las.

Był już zupełnie rozwiniętym trzylatkiem, prawdziwym rycerzem na swym własnym, niedostępnym kasztelu Sokolej skały. Toteż nie czuł strachu przed żadnym tworem leśnym, prócz jednego, jedynego — człowieka. Zbyt cierpkie miał z nim doświadczenia i nie mógł bez abominacji znieść nawet zapachu jego tropu. Poczuwszy go, wolał opuścić na jakiś czas rewir i wynieść się w inną stronę, byle tylko nie przejść przez trop ludzki. Antypatję swą przeniósł i na psy, choć się ich nie obawiał w ręcznem spotkaniu. Nadewszystko miłował święty spokój, i niczego sobie goręcej nie życzył, niż, aby i jemu również każdy dał spokój. Nie tęsknił do żadnego towarzystwa. Nie ścierpiał nawet kosa, który opodal nory uwił sobie gniazdko. Przepłoszył go tak skutecznie, że młoda parka wolała porzucić dwa świeżutkie jajeczka i wynieść się w gościnniejszą okolicę.

W zeszłym roku zaniedbał gody weselne. Wprawdzie poczuwał kilkakrotnie tęsknotę do samiczki, szukał jej daleko po górach i lasach, lecz szczęście mu nie sprzyjało. Obecnie stał się na ów głos krwi mniej wrażliwym. Przewagę miały sprawy żołądkowe. Wszystko mu było dobre i smaczne i napełniwszy wpadłe boki — zapominał o całym świecie.

IX.

Drwal Jurko — dostał niespodziewanie zamówienie na kilo borsuczego sadła, od starej Skubaniczki. Baba rozniemogła się na kłócie w piersiach, wszystkie środki, jakiemi leczyła sama pacjentów, nic nie pomagały. Gotowała rozmaite trawy i liście, naparzała wszelkie zioła, przykładała na piersi pieluszki dziecka urodzonego w noc sylwestrową, prażyła na cmentarzu bobki kozypierwiastki, i piła je z mlekiem, kupionem od żyda — wszystko na nic! Poszła wreszcie na poradę do konkurentki z sąsiedniej wioski. Ta — niema co mówić — przyjęła ją uczciwie. Poprosiła do izby, posadziła za stołem na poczestnem miejscu pod obrazami, wygnała na dwór kotkę, która — jak wiadomo — ma moc odejmowania siły lekom i czekała na pierwsze słowo.

Jak tam znachorki z sobą rajcowały — tego nie wiem, dość że recepta brzmiała: okłady z niedźwiedziego sadła z octem, a w braku niedźwiedziego — borsucze — jeno, że jako słabsze, z mocniejszym octem!

Stąd poszło, że na borsucze sadło otrzymał pilne zamówienie Jurko Hulaj. Nic nie pomogły zapewnienia, że o tej porze roku borsuki mają bardzo mało sadła — baba nie ustąpiła, dodała tylko do omówionej ceny połowę trawy z dzierżawionej łączki leśnej. „A spróbuj mnie okpić jakiem innem świństwem — wiedz, że ci krowa samą krwią będzie doić!"

Było to w czerwcu. Jurko nie spodziewał się wielkich trudności, wszak znał wszystkie nory w całym rewirze, nie sposób więc, żeby w której z nich nie miał znaleźć borsuka. Obszedł wszystkie jamy — wszędzie pusto! Co u licha! Przecież pod Sokolą skałą stale siedział od wielu lat borsuk, jeno, że wykopać go nie było można. Trzeba jednak zajrzeć!

Że pan był w domu, to poznał Jurko na pierwszy rzut oka po wzorowym porządku u wylotu. Pytanie jednak, jak się do niego dostać? Kulą nic nie zrobisz! Borsuk wychodzi późno, po ciemku. Nie położysz go na miejscu, pójdzie i nie wróci więcej, albo cofnie się pod skały i tyle go będziesz widział. Żelaza Jurko nie ma, szelma gajowy „ukradł" mu je w zimie nad rzeką i to z chwyconą w nie wydrą.

Siedział tedy na kamieniu i dumał, dumał, aż puknął się w głowę. Plan był gotów! Oto położy na wylot sieć rybią i zasiędzie gdzieś w pobliżu. Chłopiec z pomocą Kasztana, obleci cały las i borsuk uciekając do nory, wpadnie w sieć. Potem pałką przez nos i rzecz gotowa.

Następnego wieczora wziął na sznurek kudłatego Kasztana, pod kapotę mocną siatkę na ryby, sękatą grabową pałkę i wraz z synem ruszyli do Sokolej Skały. W połowie drogi odpoczęli, zjedli po kawałku chleba i doczekali w ten sposób właściwej pory, aby nie zastać jeszcze borsuka w norze. Dopiero o dziesiątej, poszli dalej, na miejscu zaś poczynili przygotowania ściśle podług planu.

Nasz pustelnik wyruszył dziś na spacer trochę wcześniej, jak zwykle, wczoraj bowiem znalazł padłą sarnę, napoczętą już przez lisy. Darować im taki kąsek? Napchał w brzuszek, co wlazło, reszta na jutro. Z nory wyszedł ze zdwojoną ostrożnością, ponieważ wczoraj poczuł w pobliżu nory ślad człowieka, tego najgorszego z nieprzyjaciół. Najmniej pięć razy wystawiał nos, wietrzył długo i znów się chował. Wkońcu odważył się na krok stanowczy i znikł w lesie.

Po miękkim kobiercu wonnej macierzanki toczy się szary kłębek. Co chwila staje, bierze wiatr i toczy się dalej. Do sarny podchodzi z odwrotnej strony — pod wiatr; licho nie śpi, trzeba być pewnym, że powietrze czyste. Gdzieś chrupnęła gałązka — nos jednak nic mu nie mówi. Zasiadł do wieczerzy i znów ją przerwał. Coś sie poruszyło, ale tak daleko, że tylko jego ucho mogło głos ten pochwycić. Jedząc — siedział, jak na szpilkach. Postanowił zaspokoić pierwszy głód, napić się u potoka i wracać prędko do domu. Nie swój był dziś, coś las mu się nie podobał. Niby wokoło spokój, a jednak serce ściska się jakiemś dziwnem przeczuciem.

Już miał wstać od wieczerzy, gdy właśnie od strony potoka poczuł zapach psa, a niebawem go usłyszał, jak niezgrabnym, ciężkim ruchem przeskakiwał przez wodę. Nie czekał już ani chwili.

Dobiegłszy szczęśliwie do równiny pod skałą, poczuł znów zapach ludzki. Innym razem byłby niezawodnie czmychnął w las; dziś mógł być pewnym siebie tylko w norze. Podwoił więc kroku i nie bacząc, że coraz wyraźniej dolatuje go woń człowieka — wpadł do nory. W tej chwili jednak zaszeleścił krzak nie dalej, jak o piętnaście kroków i człowiek, uzbrojony grabową pałką stanął nad borsukiem szamocącym się w sieci. Pierwsze uderzenie chybione. Drugie — spadło na grzbiet. Z siłą, jaką tylko rozpacz daje, rwał borsuk przeklętą sieć. Już wydostał głowę, już jedna noga wolna! Kłusownik — ze strachu, że mu zdobycz uchodzi, stracił zastanowienie. Zapomniał, z jakim zwierzem ma do czynienia, zapomniał o koniecznej ostrożności, rzucił się na niego, by go uchwycić, nim zniknie w norze. W tej sekundzie jednak borsuk zwrócił głowę i dziesiątek mocnych, a ostrych zębów przyjęło łydkę, chronioną jedynie płócienną nogawicą. Z krzykiem bólu uskoczył Jurko w bok o tyle jednak za późno, że poczuł nowe ukąszenie. Nim chwycił znów palicę, borsuka już nie było — zniknął w norze wraz z porwaną siecią. — Polowanie było skończone.

Kłusownik siadłszy na kamieniu, obnażył pokaleczoną nogę. Pokazało się, że łydka jest głęboko rozdarta, a prawdopodobnie i kostka naruszona, na co wskazywał wprost szalony ból. Rana silnie krwawiła, więc owiązał ją jakąś brudną szmatą i kulejąc poszedł do domu. Syn, zwołany umówionym sygnałem, odrazu poznał, że się tatowi nie powiodło, a znając go dobrze, nie odezwał się ani słówkiem zapytania. Stary kulał coraz bardziej — tak, że do domu dowlókł się dopiero nad ranem. Pocieszał się, że za dwa dni będzie zdrów, byle liść chrzanowy przyłożyć. „A tego czorta wcielonego dziś, czy jutro, dostać muszę i żywcem ze skóry obłupię".

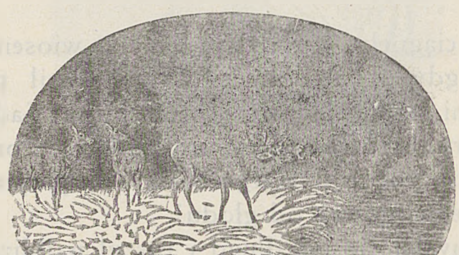
Lecz chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi... Rana goiła się wprawdzie z wierzchu, ale noga puchła i puchła i ból tak straszny dolegał, że ani mowy nie było o obiecanej wyprawie odwetowej. Czwartego dnia łydka cała była czerwono-sina, obolała — ku kolanu zaś podchodzić zaczęły złowrogie nabrzmienia. Zawołano starą Skubeniczkę. W jej oczach nie było to nic poważnego. Kuracja niezawodna i prosta: nogę moczyć w święconej wodzie, potem mocno natrzeć mrówczaną wódką, wkońcu siedm razy podkadzić cerkiewnem kadzidłem. Skutek pewny, chorobę — jakby ręką odjął. „Jeno aby nie wołać doktora" ostrzegała na odchodnem — „bo ten się zaraz za nożem ogląda!" — Dopiero trzeciego dnia kuracji, gdy gangrena objęła już całe udo do biodra — dał się biedny Jurko odwieść do szpitala.

Wszelka pomoc była spóźniona. Chory skończył na zakażenie krwi. Rany, zadane przez borsuka, nigdy nie goją się łatwo, a nasz pustelnik zadając je, był objedzony gnijącem mięsem padłej sarny.

* * *

Żyje dotąd w Sokolej skale, widuję go niekiedy i życzę długich lat temu cichemu, a stosunkowo prawie nieszkodliwemu mieszkańcowi puszczy.

KONIEC



†

Tadeusz Leliwa Łysakowski

ziemianin, zamieszkały w Gnojniku, powiatu brzeskiego, przeżywszy lat 35, po krótkich a ciężkich cierpieniach zmarł w Krakowie, dnia 18 grudnia 1931 r., skąd przewieziony do grobowca rodzinnego w Gnojniku i tam 21 grudnia b. r. pochowany został.

Służył jako ochotnik w Legjonach, później w wojsku polskiem walczył o całość Ojczyzny. Był człowiekiem szczerym, życzliwym i serdecznym, to też kochali Go wszyscy. Zamiłowany myśliwy, był delegatem M. T. Ł. dla południowej części powiatu brzeskiego. Umiłował ziemię rodzinną i przyrodę, cały oddany pracy nad podniesieniem rolnictwa i łowiectwa, osiągnął też duże rezultaty. Polowania w Gnojniku pozostaną na zawsze jako miłe wspomnienia. W przedwcześnie zmarłym ponosi łowiectwo niepowetowaną stratę.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy.

Conseil International de la Chasse

Sesja II-ga.

Ptaki przelotne i latarnie morskie.

Referat wygłoszony przez P. Villatte de Prugnes, członka Rady administracyjnej St. Hubert Klubu we Francji, Prezydenta Federacji myśliwskiej, departamentu Allier.

Ptaki zabijają się w wielkiej liczbie o latarnie morskie.

Mówią, że orzeł jest jedynym ptakiem, który może patrzeć prosto w słońce, a jednak przekonano się, szczególnie od czasu używania acytylenu, że wiele zwierząt ogarniętych jego promieniami świetlnemi, utrzymuje się w nich z pewnym uporem, a żywy ten blask, wcale je nie żenuje.

Polując, widzi się często, jak słonki i kszyki lecą wprost pod słońce, nie troszcząc się, jak się zdaje, o jego oślepiające promieniowanie.

Intensywność światła wprowadza ptaki w pewnego rodzaju fascynację, która je oczarowuje, je zatrzymuje i staje się współwinną ich śmierci.

Kuropatwy pod wpływem promieni światła latarni acytylenowej gromadzą się i stroszą swe upierzenie, podczas gdy mordercza broń przygotowaną jest do skoszenia całego towarzystwa.

Również skowronek ulega tej przyciągającej sensacji i staje się jej ofiarą. Zwabiony błyszczeniem zwierciadła unosi się nad niem z uporem, a nawet oddaliwszy się od tego narzędzia, wraca doń, unosząc się nad niem z otwartemi łapkami, jakby chciał pochwycić tę zabawkę nęcącą go, a nieuchwytną.

Gwiazdy dnia i nocy były zawsze przewodnikami rzeszy skrzydlatej i wystarczy człowiekowi naśladować te wielkie prymitywy urządzeniami o silnem świetle, aby jego cel humanitarny stał się, jakby przez ironję, klęską nieubłaganą dla naszej fauny pierzastej.

Latarnie morskie, opiekunki żeglugi, należą do tej kategorji urządzeń i od dawna stwierdzono, że liczne ptaki przelotne w czasie swych nocnych przelotów wzdłuż wybrzeży, ulegają nieodpornemu przyciąganiu ich oślepiającego światła.

Jakże się ptaki zachowują wobec światła tych latarni? Obecnie przeważna ilość latarni zaopatrzona jest w reflektory pryzmatyczne, lub lustra wklęsłe, rzucające światło na 60 a nawet 100 km. Projekcja światła dokonuje się przy pomocy pewnego rodzaju wiatraka, ciągle się obracającego, tak, iż promienie światła nie przestają się obracać w kierunku horyzontalnym. Pęki świetlne błądzą szybko wzdłuż morza, potem po skałach wybrzeża, w końcu po domach, rozrzuconych wewnątrz lądu.

Ptaki wędrowne bywają ściągane z wielkich odległości i postępują uporczywie za temi pękami świetlnemi lotem tworzącym spiralę. — Przekonano się przez obserwację, że ptaki nie przylatują do światła przy jasnej pogodzie, bo widzą wówczas przedmioty je otaczające. Szczególnie przy umiarkowanym wietrze południowym, przy niebie ciemnem albo deszczowem, we wrześniu, październiku, listopadzie, części grudnia, w lutym, marcu, kwietniu i maju, widzi się w promieniach świetlnych obracających się wkoło i wydłużających się w dal na kształt olbrzymich ramion, jakby iskierki elektryczne, które zjawiają się w wirującem świetle, mnożąc się wkrótce i przybierając formy drobnych ptaków. To są pierwsi przybysze, którzy rozpoczynają djabelską sarabandę dokoła latarni na wysokości platformy i niżej, zanużając się w szerokie bruzdy świetlne i opuszczając jedną by osiągnąć drugą. Projekcje zbyt szybkie nie pozwalają rozróżnić gatunków ptaków, które składają się na ten rój; jest to szum głuchy i ustawiczne bicie skrzydłami, pomieszane z różnemi głosami, wśród których dominuje potężny, a jękliwy, organ różnych brodźców nadbrzeżnych. Z tej masy, wykonującej rundę dokoła latarni, rzuca się w różnych odstępach czasu nieostrożne ptactwo na szyby latarni, rozbija się o nie i pada bez duszy na balkon. Czasem, jak to się zdarzyło w Eckmühl, kaczki z taką gwałtownością uderzają o szyby, że je roztrzaskują.

Sądzono przez długi czas, że śmierć ptaków, znachodzonych we wielkich masach u stóp latarni morskich, pochodzi stąd, że się uderzają o podstawę latarni lub jej kopułę, i że zabijają się od jednego uderzenia. Ścisłe obserwacje pozwoliły stwierdzić, że przypuszczenie to jest tylko częściowo słuszne. Oczywiście, że niektóre ptaki, mające lot szybki i gwałtowny, jak gęsi, kaczki i wiele innych gatunków ptactwa nadbrzeżnego, ginie często w taki właśnie sposób. — Jednak dla większości ptaków z rodzaju wróblowatych, wypadki, którym ulegają na skutek potęgi przyciągającej latarni morskich, pochodzą z wyczerpania sił, spowodowanego przez ustawiczny lot, kilkugodzinny, dokoła oślepiającego światła, tak, iż w końcu siły je opuszczają i one upadają omdlałe na ziemię u stóp wieży.

Szybkość z jaką ptaki oblatują latarnię morską jest nadzwyczajna, jest ona często większa, niż szybkość rotacji światła.

Liczba ptactwa ginącego dokoła latarni, jest olbrzymia. — Jeżeli damy pogląd na ilość i różnorodność ptaków, które przez owych sześć złych miesięcy, znachodzą śmierć u latarni morskich, to zestawimy ponury bilans, który powoduje drżenie ręki dzierżącej pióro i ściska serce rolnika i prawdziwego myśliwego.

Pierwsi Anglicy poczynili obserwacje w kwestji, która nas zajmuje. Zostały podjęte studja przez R. Blasiusa odnośnie do latarni morskich niemieckich, przez E. Middendorffa odnośnie do latarni rosyjskich i przez Hélin'a dla latarni duńskich. Blasius ustalił, że od roku 1885 do 1894, około 13.000 ptaków zginęło jako ofiary latarni niemieckich, a w szczególności: 3.200 skowronków, 2.700 szpaków, 1.700 drozdów, 1.725 raszek, 820 mysikrólików, 250 sikor, 370 szczygłów, 300 pliszek czerwonoogonów, 175 muchołówek, 200 dzikich kaczek i t. d. Ofiary latarni morskich w Niemczech były nie-

wątpliwie o wiele liczniejsze niż to ustalają cyfry Blasiusa, bo strażnicy latarni, podają zawsze raporty niedokładne, mając, tak samo jak mieszkańcy okoliczni, interes w tem, aby wykazywać cyfry niższe od rzeczywistych.

Jest przykro przedstawić obraz kilku nocy, które poświęcono obserwacjom we Francji, między temi, o których się nie mówi.

U stóp latarni morskiej w Pilier zebrano w jednym sezonie jesiennym 750 słonek.

P. Michard w szwajcarskiem piśmie „L'Ornitologiste" ocenia liczbę ptaków zabitych przez latarnie morskie na setki tysięcy.

P. Ludwik Ternier sygnalizował swego czasu hekatombę z 5.914 ptaków w Gris-Nez i drugą z 5.667 ptaków.

P. Emil Chauvelon z Nantes wskazał, że jedna noc zniszczyła u wielkiej latarni w Belle-Ile 3.300 ptaków, z czego wielką ilość stanowiły przepiórki i chruściele, a była w tem i setka słonek.

PP. Guegen i Roussin z Quimper, stwierdzili, że wysyłki ptactwa schwytanego przy latarni morskiej w X... osiągały często 2.000 a nawet 4.000 sztuk. Jedna tylko posyłka, zawierała więcej niż 500 słonek.

P. Georges Benoist donosi, że u latarni morskiej de la Coubre napełniono 14 worków z cementu skowronkami w ilości 7.000 sztuk. 1.860 drozdów, skowronków i kszyków zostało zniszczonych na wyspie de Ré.

Trzymajmy się tych cyfr, chociaż inne świeższe raporty mnożą je z dnia na dzień w sposób nieoczekiwany.

Dziełu zniszczenia spowodowanemu przez latarnie morskie, przychodzi w pomoc jeszcze działanie ludzi. Dawniej strażnicy latarni morskich zadawalali się zbieraniem ptactwa, które u latarni morskich zginęło. Przeciw temu nie możnaby nic zarzucić, ale obecnie, niektórzy z tych dzielnych strażników, idąc z postępem, spostrzegli się, że mają w swych rękach pierwszorzędny przyrząd łowiecki i nie zawahali się z tego skorzystać. Z beneficjatów biernych pożałowania godnego zniszczenia, stali się czynnymi działaczami. — Z raportów uzyskanych przez francuski Saint-Hubert Club zdaje się wynikać, iż niektórzy z pomiędzy nich, chwytają ptactwo przy pomocy specjalnych sieci, ustawionych na terasie latarni lub też ubijają uderzeniami kija te, które przylatują, by poprostu oblatywać światło.

Powstaje zatem kwestja prawdziwego kłusownictwa. Jakie ptaki przylatują do latarni morskich?

Ornitolog nie może być umieszczony lepiej jak w latarni morskiej, by zobaczyć wśród ciemnych nocy wszelkie gatunki ptactwa przelotnego, które nas odwiedzają w ciągu roku.

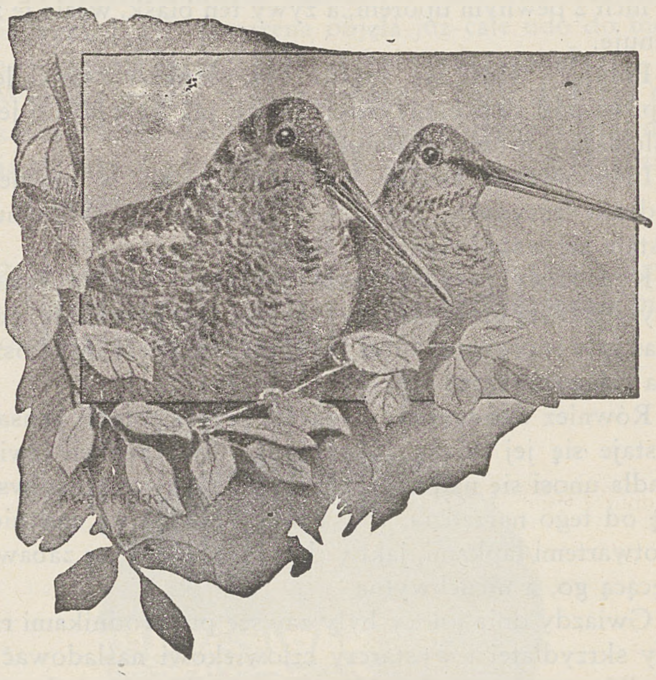
Są tam najpierw turkawki, za któremi idzie orszak wróblowatych, następnie jaskółki, szpaki, drozdy i kosy, przy końcu sezonu letniego. Później w październiku i w listopadzie następują przeloty słonek, kaczek dzikich, siewek, czajek, gołębi, chruścieli, kurek wodnych i t. p., które w czas ku temu się nadający składają się na fatalne hekatomby, w proporcjach, o których do niedawna nie mieliśmy pojęcia.

Przy latarni morskiej w Branderis, na wyspie Terschling, jest interesująca sala, zawierająca w szafach oszklonych zawsze jeden lub dwa okazy każdego gatunku ptaków, jakie się zabiły u tej latarni morskiej.

UWAGA. Opuściliśmy długi wstęp referatu, w którym p. Villatte skarży się na widoczny zanik ptactwa i wykazuje, że człowiek nie może obejść się bez ptactwa, które jedynie skutecznie niszczy szkodliwe owady, napełnia nasze ogrody i gaje radosnym śpiewem lub jest w części swych gatunków, pożądaną szlachetną zwierzyną.

(Ciąg dalszy referatu nastąpi.)

(tłum. *A. Sander*)



KORESPONDENCJE

Łany Sieleckie, w listopadzie 1931 r.

Dnia 7 listopada polowano w lasach państwowych Zawidów koło Porycka na Wołyniu w 10 strzelb; na rozkładzie odyniec, rogacz i 12 zajęcy. — Stan zwierzyny bardzo marny. Wnykarstwo kwitnie, o czem byłoby dobrze, by Dyrekcja lasów w Łucku raczyła się dowiedzieć. — Królował p. Godlewski z Łanów siel., mając dzika i 2 zające na rozkładzie.

Dnia 9 listopada polowano w 10 strzelb przy idealnej pogodzie u pp. T. Rakowskich w Kamionce strumiłowej, rewir Jazienica. Na rozkładzie 2 lisy, bażant i 58 zajęcy. — Królował p. Jul. Godlewski (lis i 7 zajęcy).

Dnia 25 i 26 listopada polowano w Uhrusku, p. St. Niemiryczów, powiat Włodawa, wojew. lubelskie, w 11 strzelb. Pierwszy dzień kotły, drugi las. Na rozkładzie 5 lisów, 3 kuropatwy, 178 zajęcy. — Stan zwierzyny w stosunku do roku poprzedniego pogorszył się, co jednak idzie po myśli gospodarstw, gdyż zwierzyna czyniła wielkie szkody w pięknych kulturach dębowych. — Królował p. Karol Stokowski z Oleśnik, mając 23 sztuk na rozkładzie.

K. G.

Zator, dnia 6 grudnia 1931 r.

W dniach 2 i 3 grudnia b. r., odbyło się polowanie w dobrach P. Dra Adama hr. Potockiego w Zatorze. W pierwszym dniu polowania ubito w 5 strzelb 309 bażantów i 1 królika, zaś drugiego dnia przy współudziale 7 strzelb, w dwóch pędzeniach i 1 kotle 491 zajęcy i 70 kuropatw. Odstrzału kuropatw dokonano na podstawie specjalnego zezwolenia Ministerstwa Rolnictwa.

M. Schally

Kraków, dnia 3 grudnia 1931 r.

Towarzystwo Myśl. im. św. Huberta w Krakowie, polowało w dniu św. Huberta, w lasach Poczałtowickich, pow. Chrzanów, dzierżawionych od Karmelitów Bosych w Czerny, w 20 strzelb przy wspaniałej pogodzie.

Rezultat: 72 zajęcy i 5 bażantów (kogutów).

Z powodu przedłużenia czasu ochronnego na kuropatwy, przez Min. Roln. rozporządzeniem z dnia 20 X. b. r., tychże nie strzelano, pomimo, że stan kuropatw w całem tut. województwie jest znakomity. Zarządzenie to wywołało wielkie i uzasadnione niezadowolenie i zdziwienie u całego ogółu tut. myśliwych.

Stan zajęcy — jak dotychczas skonstatowano — jest w tym roku wogóle nieco słabszy.

Umotywowana prośba powyższego T-wa, wniesiona jeszcze 15 października przez tut. wojew. do Min. Roln. o zezwolenie odstrzału 2 rogaczy w lasach Poczałtowickich i Czerny, po 1 listopada, została dotychczas bez odpowiedzi.

Wyż wspomniane polowanie zaszczycił swą obecnością tutejszy pan Starosta powiatowy, Dr. Władysław Wnęk, który, jako myśliwy i życzliwy opiekun sprawy, ponosi wielkie zasługi dla podniesienia łowiectwa w pow. krakowskim.

Stiller gen. dyw.
Prezes

Rzeszów, w grudniu 1931 r.

W dniu 2 grudnia 1931, na polowaniu leśnem w Przewrotnem u p. Stanisława Politalskiego w 32 strzelb, ubito 214 zajęcy i 2 lisy na 636 strzałów.

Władysław Gürtler

Lwów, dnia 7 grudnia 1931 r.

Lwowskie Towarzystwo Myśliwskie Nemrod, rozpoczęło tegoroczny sezon polowania

w dniu 18 X. w Państwowych lasach w Starzawie, ubijając w 17 strzelb 3 rogacze, 1 kunę leśną. Widziano 8 jarząbków — jednak do nich nie strzelano. Pogoda sprzyjała. Stan sarn zadowalający.

W dniu 3 XI. Mikłaszów, w 16 strzelb, ubito 46 zajęcy. — Pogoda ładna. Stan zajęcy dobry.

W dniu 8 XI. Gańczary, w 15 strzelb ubito 30 zajęcy. — Pogoda ładna, stan zajęcy średni.

W dniu 14 XI. Porszma, Kowerki, w 8 strzelb w dwóch miotach, zabito 9 zajęcy. Z powodu deszczu polowanie po drugiem miocie przerwano.

W dniu 22 XI. Winniczki pola, w 15 strzelb ubito 30 zajęcy. Stan zajęcy ponad średni.

W dniu 29 XI. Podborce pola, przy udziale 15 strzelb, ubito 36 zajęcy. — Pogoda prześliczna, stan zajęcy dobry.

Jan Zecha
Łowczy

Grudzień, 1931 r.

Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie, polowało w dniu 12 grudnia na polach w Olszanicy, ubijając w 18 strzelb, 44 zajęcy.

A. Sander

Grudzień, 1931 r.

W dniu 19 grudnia odbyło się polowanie w Zazuli k. Złoczowa, w łowisku dzierżawionem przez P. Kazimierza Ansiona. W 10 miotach leśnych ubito w 9 strzelb — 40 zajęcy.

A. Sander

Borynicze w grudniu 1931 r.

W dniach 14, 15 i 16 XII 1931, odbyło się polowanie w dobrach Borynicze przy lekkim mrozie, a zmiennej aurze. Opolowywano prawie wyłącznie lasy w 6 — 8 strzelb; drugiego dnia najbardziej rozniecił zapał myśliwski niewielki miot, którego wynikiem było sześć lisów na rozkładzie, podczas gdy drugich tyle



pozostało przy życiu. Ogółem padło lisów 25, zajęcy 49; do dzików, których ośm przeszło przez linję myśliwych, nie strzelano.

W dniach 21 i 22 XII. 1931, odbyło się półtoradniowe polowanie w lasach hr. Szeptyckiego w Dziewiętnikach w 6 — 8 strzelb; ubito 2 lisy i 93 zajęcy. Zauważyć można było podniesienie się stanu zwierzyny w porównaniu z ubiegłemi latami.

Ludwik Mycielski
delegat M. T. Ł. powiatu bobreckiego

Turza, ad Sokołów pow. Kolbuszowa, 2 grudnia 1931 r.

Sprawiedliwy wymiar kary za wnyki

Nawiązując do komunikatu Wydziału M. T. Ł. we Lwowie, umieszczonego w „Łowcu” Nr. 22 z dnia 16 listopada 1931 r., L. 1697/31, podaję krótki opis następującego zdarzenia.

Działo się to w miesiącu lutym 1931, gdy lasy i pola pokryły się ponownie wysoką śnieżną powłoką...

Wróciwszy w tym czasie do domu po kilkudniowym pobycie w Krakowie, dowiedziałem się, że leśniczy z sąsiedniego majątku, p. Piątek, pełniąc u siebie służbę obchodową w dniu świątecznym t. j. w niedzielę, natknął się w rewirze Trzebuska, należącym do mojej administracji, na dwóch osobników, silnie podejrzanych o kłusownictwo, których przytrzymawszy, oddał najbliższemu posterunkowi Policji w Sokołowie do zbadania. Jakże się oni dziwili temu postępowaniu z nimi i jak się już naprzód uniewinniali?

Ponieważ obaj, a to Wojciech Reguła i Wojciech Wilk, pochodzili z odległej okolicy, bo z gminy Stykowa ad Głogów, osławionej wylęgarni wnykarzy, co tembardziej wzbudzało podejrzenie o uprawianie przez nich kłusownictwa, dlatego posterunkowi udali się natychmiast wraz ze strażą leśną tutejszego majątku pod kierownictwem nadleśnego Szeligi oraz leśniczym p. Piątkiem, na miejsce wypadku do lasu...

Na podstawie licznych ludzkich śladów, zostawionych na śniegu, których wielkość i forma zgadzały się dokładnie z obuwiem obu indywiduów, można było rozpocząć poszukiwania za ukrytą gdzieś przypuszczalnie w krzakach zdobyczą.

Po dłuższem, żmudnem chodzeniu, znaleziono w niedalekim młodniku sosnowym obok drogi publicznej, prowadzącej do Głogowa, kopicę ścióły leśnej, a pod nią, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obecnych, aż ośm uduszonych zajęcy!..

Wina obu Wojciechów leżała jak na dłoni. To też osadzono ich z miejsca w aresztach Sądu grodzkiego w Sokołowie, a niebawem sprawa ich znalazła się na wokandzie jego oddziału karnego i dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, na biurku sprawiedliwego i energicznego naczelnika Sądu grodzkiego, p. Dra Marjana Czarneka, syna leśnika, który zapewne za swoich studenckich czasów, gdy spędzając wolne chwile na łonie natury w rewirach swojego rodzica, przypatrywał się zbliska bujnemu życiu kniei, poznawał jej twory i nauczył się je kochać z całego serca.

Wyznaczono rozprawę. Budziła ona w miasteczku Sokołowie nie małą senzację i nasuwała pytania, czy kłusownicy zostaną ukarani i jak, lub czy zostaną uwolnieni.

Na rozprawie zaczęli się początkowo wypierać zarzuconej im zbrodni, ale też i wikłać w zeznaniach. Ale kiedy świadek główny, zaprzysiężony leśniczy p. Piątek, wykazał, że widział na ich ubraniach turzycę i krew, pochodzącą od zajęcy, znoszonych do kryjówki, co było niezbitym dowodem ich winy, nabrał Sąd pełnego przekonania o przewinieniu podsądnych i ogłosił wyrok do L. Kg 73/31, zasądzający każdego na 5 (pięć) miesięcy więzienia!.. Nie pomogło tłumaczenie się nieznajomością ustawy, ani twierdzenie, że zajęcy jest wiele i to samców...

I stało się zadość sprawiedliwości. Kara aczkolwiek dotkliwa, była konsekwencją zbrodniczego czynu, wynikłego z barbarzyńskiej psychiki ludzkiej, czającej się gdzieś z głębi potwornego, ludzkiego serca i była słuszną za długie męki konania biednej zwierzyny.

Że wyrok był sprawiedliwy, świadczy ten fakt, że obaj wnykarze przyjęli go spokojnie, i że ich prawny obrońca nawet się nie odważył wnieść odwołania do wyższej instancji.

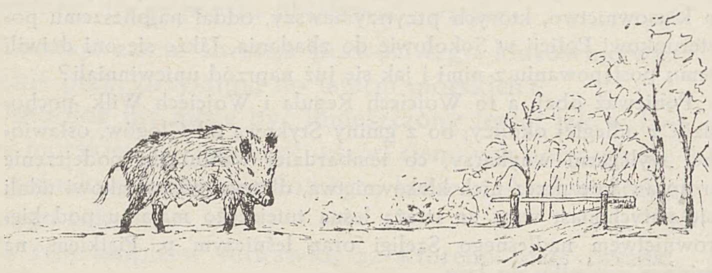
Jako delegat łowiecki na powiat tutejszy, poczuwam się do najmilszego obowiązku złożenia na tej drodze swego wysokiego uznania i serdecznego podziękowania, Panu Drowi Marjanowi Czarnekowi za wymierzenie tak sprawiedliwej i zasłużonej na wnykarzy kary. Gdyby wszyscy wyrokujący w sprawach przestępstw łowieckich sędziowie, tak je ostro karali, zniknęłoby ono wnet z terenu naszego powiatu.

Wyrok rozejdzie się głośnem echem wśród najdalszych zakątków naszych borów, stanie się wielką podnietą dla strażników łowieckich w ich walce o prawo i groźnem memento dla wszelkiego rodzaju leśnych zbójów.

Równocześnie zwracam się z gorącym apelem do wszystkich pp. Delegatów, oraz do wszystkich czytelników naszego Kochanego „Łowca", ażeby wieści o wyjątkowo sprawiedliwych a ostrych wyrokach na kłusowników, podawali na łamach „Łowca" do ogólnej wiadomości.

I taka propaganda pomoże wiele w naszej walce z jawnem kłusownictwem i potajemnem, uprawianem li tylko w mrokach nocy, strasznem w swej ohydzie, wnykarstwem.

Franciszek Dudek
del. na pow. Kolbuszowski





Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 17 grudnia 1931 r.

Przewodniczy Wiceprezes Wojciech hr. Gołuchowski; obecni Wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, Wł. Garapich, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz i A. Ulm; zastępcy: R. hr. Bielski, Dr. St. Gajewski i Z. Gronziewicz.

Przyjęto do wiadomości sprawozdanie wybranej na poprzedniem posiedzeniu „Komisji oszczędnościowej" i uchwalono przedstawione przez nią wnioski, zmierzające do zaprowadzenia najdalej idących oszczędności w administracji Towarzystwa i „Łowca".

A. Ulm, zdał sprawę z posiedzenia Lwowskiego Oddziału Rady Ochrony Przyrody, w którem wziął udział jako reprezentant Towarzystwa.

Przyjęto do wiadomości rezygnację delegata Jana Marcinkowa z powiatu leskiego, z powodu przesiedlenia. — Przyjęto w poczet członków Artura Friedriecha w Rzeszowie.

Załatwiono kilka spraw referatu łowieckiego i kilka pism otrzymanych od członków Towarzystwa.



Komunikat

Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie

Polowania zbiorowe dwudniowe na dziki, wilki, lisy, bielaki i jarząbki, urządza Dyrekcja Lasów Państwowych w Wilnie, w dniach 8 — 9 stycznia i 22 — 23 stycznia 1932 r., w lasach Państwowych Puszczy Rudnickiej.

Wyjazd z Wilna pociągiem na Lidę do stacji Jaszuny o godz. 7-mej w dniach 8 i 22 stycznia.

Koszta polowania dwudniowego z noclegiem i skromnem utrzymaniem, przy uczestnictwie 16 myśliwych:

1) 5o złotych wpisowego, płatnego przy zamówieniu miejsca;
2) 97 zł. za furmanki, nagankę, tropienie, życie, nocleg;
3) taksa od zabitej zwierzyny, wynosząca od dzika 15 — 30 zł. zależnie od wielkości, od wilka 50 zł., od lisa 30 zł., od bielaka 4 zł., od jarząbka 2 zł.

Zapisy wraz z opłatą wpisowego przyjmuje Dyrekcja do dnia 31 grudnia r. b. na pierwsze polowanie i do dnia 14 stycznia 1932, na drugie polowanie włącznie.

Polowania powyższe nie odbędą się, jeżeli nie będzie pełnego kompletu myśliwych w ilości najmniej 15 strzelb.

Dyrekcja Lasów Państwowych
w Wilnie

Spis rzeczy do Rocznika „Łowca" za rok 1931, załączymy w N-rze 2-gim „Łowca" z 16 stycznia 1932 r.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16